

Stowarzyszenie Wspomnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu.

II/2557

Na wstępie przeproszam że tak długo nie odpisywałam, ale nie mogłam się przebrać po odejściu na emeryturę. Brakuje mi pracy, ciężkiego ruchu, są dużo ciężej niż kiedyś. Przechodzę swoim miłym wspomnieniom drukowanymi. Została temu w naszej lokalnej gazecie. Pewien dziennikarz spisał to wszystko i wydrukował w Przeglądzie Otkusza. Teraz postaram się odpowiedzieć na pytania zawarte w listach przysłanych do mnie.

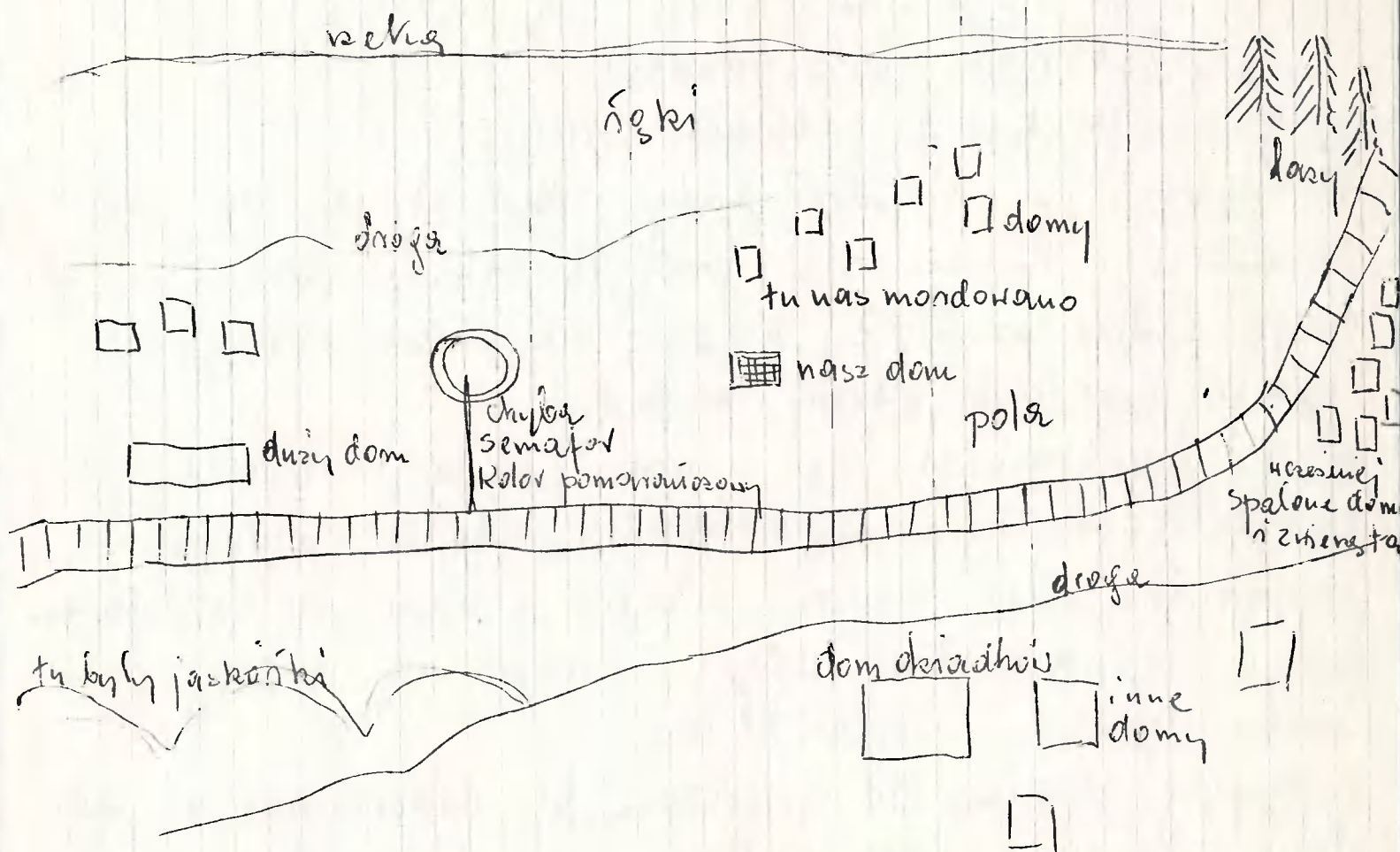
- 1) Stawiszana Próżnińska, kolonia Szdowa, gm. Grybowice, st. kolejowa ^{lub Janiechów} ~~Janiechów~~ Parafija Poruch, pow. Włodzimierz Wołyński, nad rzeką Inz.
- 2) Otkusz ul. Augustiańska 5/23 woj. Katowice
- 3) Latem 1943 roku, około południa
- 4) Jak w punkcie 2 kolonia Szdowa
- 5) Sprzedano nas do jednej chasy i tam strzelali do nas Ukraińcy o twarzy całej pokrytej takim brzochem jak mają ludzie po ospie, niestety nie znam żadnych nazwisk, miałam wtedy 6 lat.
- 6) Nie pamiętam kto był z nami, były to kobiety i dwie dziewczyny zestrzelona moja matka, która upadając przykryła mnie swoim ciałem i tak to straszącym bzdurze ranna w lewą nogę i mając na twarzy pełen śmiech. Matka miała 31 lat.
- 7) metody zbrodni to strzelanie, ale mierzono nas maszynami w ogrodzie pod oknami już po drugim napadzie zmasakrowane ciała, po prosie możemy zobaczyć ciec.
- 8) słyszałam i obserwowałam straszne rzeczy i tak...

podjęć walkę z tego powodu rozumiałam, niekamieś mnie tylko czy on gdzie mógł dalej jechać.

9) Wszyscy pomordowani zostali u tym domu gdzie nas rozstrzelano.

10) Ukrywałam się tylko ja, uciekłam do mojej babci i chładek przez pola zboż, musiało być to być lato bo zboża były już wysokie, nie było mnie widać jak uciekałam.

11) Słyszałam że Karol ukrywał się w morderców masne zony, jeśli były Polkami i tak też robiło, Kopali sobie groby, wielu z nich były mordowane. moja matka, taka jako zapamiętałam.



Mam serdeczną prośbę, bardzo proszę jeśli nie sprawi
tym kłopotu o jakś tam mi książkę p. Szubskiego
za zaliczeniem pocztowym, o moim ukochanym Meluzim.
Może Państwo mieć gdzie jeszcze mogą, proszę aby na-
trafić na swój metryczny modzelek i chętni s'w?

Serdecznie pozdrawiam.

Stanisława Lisowska

Okusze 32-300

voj. Kartomie

ul. Augustiańska 5/23.

P.S.

W gazdowie mieszka moja Kuzynka Melena Alicja,
ona jest z mojej miejscowości, może też zechce
opisać swoje przeżycia?

Okusze 29.06.1945r.

Oto prawdziwe dane o naszej rodzinie:

Moja matka: Zofia Prochnicka z domu Krut, urodzona 19.01. 1912 r. w Osłowie, była córką Elżbiety z domu Ubertom i Aleksandra.

Ojciec mój: Józef Prochnicki ur. 19. XI 1903 w Maikowie, syn Jana i Agnieszki z domu Kęca. Oboje rodzice pochodzili z miasek położonych na rzeszowszczyźnie k/ Piznowiska, ślub ich odbył się 4.02. 1936 r. w Poryczu, jej urodzinom się w lecie 1937 r. dokładnej daty nie pamiętam, -

I wciąż szukam swojej metryki. Bez niej mój życiorys jest jakis niepełny, jakby nie mój. I czy dowiem się, dlaczego pomordowani zostali tamci ludzie? Przecież przed wojną - jak dziś wiem ze wspomnień żyjących - mieszkaliśmy obok siebie w przyjaźni. Nic nas nie dzieliło.

Los

Jak ja się nazywam... Kiedy się urodziłam... gdzie? Nie, nie potrafię na to wszystko odpowiedzieć.

Na tamten daleki i nadal kochany świat patrzę oczyma dziecka. Widzę go, choć tyle lat minęło od tamtych czasów. Budzę się w nocy, słyszę tamto szczenie psów, przejeżdżającą z sapaniem kolej, widzę tę rzeczkę, która była tak mała, że nie zasługiwała, aby mieć nazwę na mapie.

W lessowym zboczach, w ziemnych jamkach gnieździły się jaskółki. Lubiałam tam chodzić i godzinami patrzeć, jak śmigają tam i nazad.

Nasz domek: niewielka chatka, tak jak i inne w tej wołyńskiej wsi, trochę pola, krowina. Tata był stolarem. Nie pamiętam, jak wyglądał, zatarło się to w dziecięcej pamięci. Mama? Jaka ona była? Nie ma żadnej fotografii. Dlaczego ja tej fotografii nie wzięłam wtedy... Przecież na stole leżały fotki. Dlaczego Mama je kazała zrobić? Może przewidywała, co będzie? No więc nie wiem, jak wyglądała. Podobno była blondynką, a ja pamiętam jej przestrzeloną głowę, bo leżała wtedy obok mnie. Była chyba czarna. Czy to takie ważne? Ważne dla kogoś, kto chciałby mieć rodziców, opiekować się nimi na stare lata, żeby wnuczka miała z kim rozmawiać o przeszłości.

Wołyń... Piękne strony. I strach, bo mama wciąż mówiła: co będzie z nami, jak przyjdą Ukraińcy? Tak mówiła i całe noce spędzaliśmy w nadrzecznych oczekach, kiedy zaczęły się palić okoliczne wsie. Nocą płonęły zabudowania Polaków. W dzień szliśmy z innymi ludźmi oglądać. W oczach dziecka utrwaliły się tamte obrazy: spalone zagrody, ludzie pomordowani i popaleni pospołu ze zwierzętami, leżący wśród domostw.

W takich chwilach Mama powtarzała: nazywasz się Krynicka. Powtórz: nazywasz się Krynicka, zapamiętaj: nazywasz się Krynicka. Czy ona wtedy też wiedziała?

Aż przyszedł do naszej wsi. Furmanki pełne żołnierzy ukraińskich. Wiosna roku - jak teraz wiem - 1943. Za chwilę wszystko płonęło. My, kobiety i dzieci ze wsi zostałyśmy zgromadzone w jednej z chałup. Ustawiono nas pod ścianą. Była śmiertelna cisza. Mama przytuliła mnie do swoich nóg - o tak...

Wtedy widziałam śmierć. Stojący przed nami żoł-

nierz z zimną krwią strzelał po kolei do stojących pod ścianą ludzi. W pewnym momencie poczułam, jak moja Mama się osuwa, mnie coś uderzyło boleśnie w nogę...

Leżałam tak przykryta ciałem Mamy. Tuż obok jej głowy, z której na mnie ściekała krew. Widziałam, jak ten, który nas rozstrzelał, chodził wśród zabitych. Te buty - takie ogromne. Ta twarz: dziobata i kostropata. Widzę ją do dziś od momentu, kiedy w moją i mojej Mamy stronę skierowany był jego karabin.

Żołnierz wyszedł, a ja po cichu wymknęłam się z chaty i przez zboża, chyłkiem pomknęłam do sąsiedniej wsi, do babci. Babcia opatrzyła mi ranną nogę - pamiętam, jak bolało - lecz zanim zdążyłam ochłonąć po tamtym, zobaczyłam, że do wsi wjeżdżają Ukraińcy. Babciu, co będzie? - krzyczałam. Wtedy ona odsunęła łóżko od ściany, a pod nim jamę, chyba na ziemniaki. Uciekaj - krzyknęła. Wpadłam do tej jamy razem z jakąś kobietą, która - później się okazało - była moją matką chrzestną. I znów słyszałam i przez szczeliny w przykryciu tej jamy widziałam, jak rozstrzelani zostali moi dziadkowie i inni ludzie z tej wsi.

Zapanowała śmiertelna cisza. Myślałam, że w tej jamie, przytulone do siebie, na pół żywe przebywałyśmy kilka godzin. Okazało się, że cztery dni. Po tym czasie wyszliśmy przerażone, babcia i dziadek nadal leżeli na środku tej izby. Uciekliśmy i nie wiem, jak długo chroniliśmy się w nadrzecznych krzakach.

Potem jechał pociąg, który co jakiś czas zatrzymywał się i zbierał takich jak my - niedobitków ze wsi wołyńskich. Udało się i nam zabrać. Po kilku dniach wśród płonących wsi i lasów, ostrzeliwani wiele razy dotarliśmy do Lwowa. Tu pociąg stanął na boczny i dobrzy ludzie przychodzili, zabierali dzieci do domu, dawali trochę jedzenia i odprowadzali z powrotem. Aż trafiłam na rodzinę Gilańskich, którzy postanowili adoptować sierotę z Wołynia. Nie mieli swoich dzieci i być może ja miałam i ten brak uzupełnić. - Nazywasz się Gilańska, rozumiesz? Nie wolno ci się nazywać inaczej. I datę moich urodzin ustalili, dostosowując ją do stanu prawnego swego małżeństwa. Stąd nie wiem, kiedy się urodziłam. Później odszukana daleko rodzina przypuszczała, że urodziłam się wiosną 1937 roku, a nie jesienią 1939. No i jak się nazywam: Krynicka czy Gilańska? Wszystkie dokumenty naszej biografii zginęły w zawierusze wojennej.

We Lwowie moi przybrani rodzice byli ludźmi zaможnymi. Mieszkałam tam do 1945 roku. W 1944r. mój przybrany ojciec poszedł na wojnę, a my z matką zostawiłyśmy wszystko i w 1945 roku wyruszyliśmy do

kraju. Po długiej podróży dotarliśmy na dzisiejsze ziemie zachodnie. Tu odnalazł nas przybrany ojciec, teraz już żołnierz zawodowy, i z tą rodziną szlakiem żołnierskiej służby i awansów mojego opiekuna aż do stopnia pułkownika - przemieszczaliśmy się do różnych miast: Wrocław, Tarnów, Poznań - na dłużej zamieszkaliśmy w Góldapi.

Nie było mi łatwo, oj nie. Moi przybrani rodzice dawali mi odczuć, że jestem znająd, przybłądą, że jestem im ciężarem. Ledwo ukończyłam 14 lat, posłali mnie do pracy. Zaczęłam pracować jako telefonistka - i tak pracuję do dziś. Bo później ojciec na miejsce swojego emeryckiego pobytu wybrał Olkusz. I tu już jestem trzydzieści kilka lat.

Kiedy miałam lat 18, mój przybrany ojciec uświadomiwszy mi jeszcze raz, że jestem ich przybranym dzieckiem, zaproponował mi ni mniej ni więcej tylko małżeństwo. Na tyle byłam świadoma, że odmówiłam. Ale na tyle nieświadoma, że powiedziałam o tym matce. Rozpętało się piekło.

Nigdy nie wolno mi było wspominać tamtych wołyńskich czasów. Ani rozmawiać o nich. Ani nikogo poszukiwać. Było, minęło - wpadło jak w studnię.

A przecież nie mogłam zapomnieć. Skoro tylko minęłam swoje 18 lat, zaczęłam szukać. Czego?

Pisałam do różnych organizacji, kurii biskupich, ambasad, czy nie wiedzą, jak się nazywa taka wieś nad rzeczką na Wołyniu, koło której przebiegała linia kolejowa. Potem gdzieś znalazłam kartkę z nazwą miejscowości: Sądowa. Zewsząd przychodziły odpowiedzi: nie, nie ma takiej, nie było takiej. Wreszcie znalazłam w pamięci polecenie Matki: zapamiętaj, jak się nazywasz. Znów piszę - ale przypomniałam sobie imię Matki: Zofia. I Ojciec - Włodzimierz. Nadal płyną odpowiedzi: nie, nie ma. Rozczytuję się w książkach partyzanckich, bo może Ojciec był partyzantem i został po nim jakiś ślad. Wreszcie z PCK w Warszawie pani Szomburg (pamiętam ją z wdzięcznością) pisze, że natrafiono na ślad rodziny w Zielonogórskim. To może być brat mojej Matki. Jade. Powitanie - i pytanie: dlaczegoście mnie oddali obcym ludziom? Bo oni, okazało się, byli ze mną przez cały czas w tym Lwowie. Ano, widzisz, mówią, czasy były ciężkie, a adres twoich przybranych rodziców gdzieś nam zaginął. Twój ojciec poszedł na wojnę, nie wiedzieliśmy, czy wróci. Co mieliśmy z tobą robić? - Mój Boże, a ja tyle lat szukam śladu...

- A twój ojciec wrócił z wojny i szukał cię przez wiele lat.

Powoli znalazłam dalszych członków mojej rodziny - i kolejnych wujków, i matkę chrzestną, z którą spędziłyśmy kiedyś te tragiczne chwile. Spotkaliśmy się - były wspomnienia, płacz, a z mojej strony żal, że nie zadbał o mnie. Moje życie potoczyłoby się przecież inaczej...

Cała rodzina spotkała się w rodzinnym gnieździe we wsi Maćkówka koło Rzeszowa. Było w rodzinnej umowie, że kto przeżyje wojnę, przyjedzie do tej Maćkówki.

- Gdzie moje dziecko? - pytał Ojciec.

- Ano gdzieś się zawieruszyło. A poza tym mieliśmy swoje problemy.

A mój Ojciec - nie wiem, jakimi drogami żołnierskimi - trafił aż do obozu jenieckiego pod Berlin. Tam jakoś przeżył, a potem osiedlił się w Wyrzysku, dziś województwo bydgoskie. Szukał mnie wciąż, choć założył tam drugą rodzinę. Tam też zmarł i pochowany jest w Nakle nad Notecią. Znalazłam ten grób: popłakałam nad tragicznym losem naszej rodziny, nad swoim losem, który byłby inny, gdyby...

Jego nowej rodziny nie odwiedziłam. Niech ten nieznamy mi Ojciec pozostanie w mojej pamięci do końca nieznanymi.

Nie mam gdzie położyć kwiatów na grobie mojej Matki. Nie byłam tam nigdy. A urodziłam się w Kolonii Sądowej, poczta Grzybowice, stacja kolejowa Iwanicze, powiat wołyński. Wieś nazywała się Poryck. Ta Sądowa i to, że źle zapamiętałam imiona moich rodziców przez lata utrudniało znalezienie swoich śladów.

Więc nie byłam już nigdy w Kolonii Sądowej. A czy ona się tak dziś nazywa? Była tam moja krewniaczka. Mówi, że nie ma nic, nie ma kościoła, gdzie była moja metryka urodzenia i chrztu. Tylko pola i pola. I są ludzie: podobno strasznie niezyczliwi dla Polaków. Więc nie pojedę. Niech zostanie w mojej pamięci wioseczka wołyńska z rzeczką, torami, jaskółkami.

Szukam nadal. Pisałam do kurii w Drohiczynie. Może tam coś zostało.

W tekście zostały zmienione nazwiska i imiona. Autorka wspomnień prosiła o niepodawanie swoich danych.

Jej wspomnienia notował: AS

11/2557